

MARGINESY

Ona

Życie Krzysztofa było poukładane, stabilne i w dużej mierze koncentrowało się na bardzo prozaicznych czynnościach. Z jednej strony cieszył go drobne rzeczy, jak codzienne śniadanie z żoną i córeczką, odwożenie małej do szkoły czy wieczorne gry w scrabble, z drugiej – czuł się podduszany rutyną w pracy czy mieszkaniem w podmiejskiej dzielnicy, gdzie wszystkie domy wyglądają tak samo, a większość ich właścicieli przez kolejne trzydzieści lat będzie spłacać kredyty. Każdy dzień był podobny do poprzedniego, co potęgowało jego znużenie.

Po kilku tygodniach i wydarzeniach, jakie w tym czasie nastąpiły, Krzysztof zdał sobie jednak sprawę, jak bardzo kochał tę rutynę. Jego żona zginęła w wypadku samochodowym, a on w jednej chwili stał się samotnym ojcem i samotnym człowiekiem. Gdy pierwsze emocje opadły, a z domu zniknęli chcący go we wszystkim wyręczyć członkowie rodziny i znajomi, Krzysztof zrozumiał, że jak wielu rzeczy nie zdawał sobie dotąd sprawy i jak niewiele potrafi załatwić bez pomocy żony. Umiał włączyć pralkę, ale miał problem ze znalezieniem wybielacza. Nie wiedział, jak przyszyć urwany guzik w kurtce swojej córeczki Ani. Nie był pewien, ile razy dziennie pies powinien dostawać jedzenie i jakie psie chrupki lubi najbardziej. Przede wszystkim jednak nie wiedział, jak o wszystkim, co się stało, rozmawiać z córką.

Wtedy też – po części z rozpacz i bezsilności, a po części z nagromadzonych lęków – Krzysztof zaczął bardzo dużo pracować. Być może była to metoda strusia, który chowa głowę w piasek, ale – według niego – tymczasowo się sprawdzała. W ten sposób minęło kilka kolejnych lat. Przez ten czas Krzysztof mocno się postarzał – spotkania z licznymi niegdyś przyjaciółmi stały się dla niego nieistotne, a mięśnie i skóra zupełnie nie przypominały jego ciała sprzed lat. Wtedy z pomocą Krzysztofi przysła córka. Przez lata Ania nauczyła się gotować podstawowe dania i zajmować domem. Niełatwo było jej się pogodzić ze śmiercią matki, ale równie trudne było patrzenie na niktącego z każdym dniem ojca. Robiła zatem wszystko, co było w jej mocy, aby skierować jego życie na dawne tory.

W osiem lat po śmierci żony Krzysztof po raz pierwszy od bardzo dawna poszedł na randkę. Trudno byłoby to zresztą nazwać randką – po prostu wypił kawę ze swoją współpracowniczką w kawiarni niedaleko szpitala, w którym oboje pracowali. Kasia – podobnie jak on – była lekarzem i pracoholikiem, ale była też skromną, ciepłą i dobrą kobietą. Krzysztof nigdy nie myślał, że ktoś mógłby zastąpić jego żonę, ale rodzice i znajomi nalegali, aby wreszcie zobaczył cokolwiek poza pracą i córką.

Minęło zaledwie kilka tygodni od tamtej kawy, gdy Kasia wprowadziła się do domu Krzysztofa. Początkowo miało to być tylko na czas remontu jej mieszkania, jednak kiedy malowanie dobiegło końca, postanowili wspólnie, że zostanie na dłużej. Ania niby akceptowała Kasię, ale robiła to tylko dlatego, że dostrzegała pozytywne zmiany w zachowaniu ojca. Pozostałe aspekty pobytu obcej kobiety w ich domu bardzo ją drażniły. Z czasem stawały się coraz bardziej dokuczliwe – Anię doprowadzały do płaczu wszystkie zwyczajne czynności, które w jej pamięci zarezerwowane były wyłącznie dla matki.

Z biegiem czasu dziewczyna zniecierpliwiona Kasię tak bardzo, że postanowiła pozbyć się jej z domu. Uknęła intrygę, która miała spowodować, że Kasia będzie przekonana, iż Krzysztof ją zdradza. Za radą przyjaciółki, podając się za kochankę, wysyłała do ojca esemesy i maile. Podrzuciła mu także jakieś kobiece drobiazgi, zostawiła liściki. Wszystkie te zabiegi wywoływały oczekiwany efekt – rozwścieczona Kasia wybuchła płaczem i zrobiła karczemną awanturę, po której się wyprowadziła. Choć Ani było bardzo żal załamanego ojca, wierzyła, że z czasem wszystko wróci do normy.

Po kilku dniach efekty, jakie przyniosła intryga Ani, okazały się zgoła odwrotne. Krzysztof, który dzięki wyprowadzce Kasi zrozumiał, jak wiele ona dla niego znaczy, postanowił się jej oświadczyć. Kasia przyjęła zarówno jego przeprosiny, wyjaśnienia, jak i oświadczenia. Od tej chwili sytuacja w domu była jednak dość napięta.

Zrozpaczona Ania postanowiła nie dać za wygraną. Wcześniej, mimo wszystko, starała się nie zatruwać Kasi życia, ale teraz wszystkie skrupuły zniknęły. Stała się w stosunku do niej bezczelna i arogancka, w głębi duszy sama czuła się bowiem ofiarą całej sytuacji. Oliwy do ognia dolewało to, że Kasia bardzo się starała utrzymywać pozytywne kontakty z córką narzeczonego. Ania za to nie przepuszczała najmniejszej okazji na uprzykrzenie jej życia, np. zmieniała termin rezerwacji hotelu, który ojciec zamówił na romantyczny weekend, czy poplamiała należąca do Kasi garsonkę przygotowaną na ważne wyjście.

Czara gorczy przelała się jednak wtedy, gdy Ania włamała się do jej poczty internetowej, przez co Kasia nie dostała na czas wiadomości o ważnym spotkaniu. Wówczas wyszło na jaw, że nie była to wina programu komputerowego, ale celowe działanie Ani.

Niedługo potem, podczas wiosennych porządków, Krzysztof przypadkiem znalazł w papierach Ani anonimowe listy, które dostawał od rzekomej kochanki, co odsłoniło całą lawinę kłamstw produkowanych przez Anię i mających na celu skłócić ojca z narzeczoną.

Krzysztof nie zwlekał z wyciągnięciem konsekwencji – błyskawicznie podjął decyzję o wysłaniu córki na półroczną wymianę międzyszkolną do innego kraju. Ani bardzo nie podobał się ten pomysł, ale w zasadzie nie miała wyboru. Ku jej zdziwieniu podczas przygotowań do wyjazdu Kasia pomogła jej skompletować wszystkie rzeczy, zapakować się, a nawet odwoziła ją na lotnisko. Dziewczyna była jednak przekonana, że jest to podyktowane wyłącznie chęcią szybkiego pozbycia się jej z domu.

Przez następne miesiące Kasia co kilka dni wysyłała do niej obszerne maile z opisem tego, co dzieje się w domu, mieście i szpitalu. Z początku Ania nie odpisywała, wszystko uległo jednak zmianie, gdy Krzysztof niegroźnie zachorował. Paradoksalnie – wyjazd do miasta oddalonego o kilkanaście tysięcy kilometrów od domu bardzo zbliżył do siebie Kasię i Anię. Budowanie wzajemnego zaufania miało im jeszcze zająć długie lata, ale z każdą chwilą stawało się to coraz bardziej realne.

NA PROSTEJ I ZAKRĘTACH

Święte oburzenie

Ostatnio głośno było, zresztą nadal jest, o NCS. Co oznaczają te litery? Oficjalnie to skrót nazwy od Narodowego Centrum Sportu, które zostało powołane przez byłego ministra sportu Mirosława Drzewieckiego. Nieoficjalnie wiele osób rozwija ten skrót jako Narodowe Centrum Skandalu. Na czele tej instytucji stał do niedawna pan Rafał Kapler. Centrum odpowiadało za budowę stadionu w Warszawie, który nazwano Stadionem Narodowym. Jak dotychczas obiekt wciąż jest nieukończony i mnóstwo w nim niedoróbek. Przeciwnicy polityczni jasnie nam panującego Donalda Tuska budowę tego stadionu nazywają narodowym przekrętem. Nie sympatyzuję z posłami PiS Adamem Hofmanem i Mariuszem Kamińskim (ten od CBA, szef agenta Tomka), ale akurat w tym przypadku się z nimi zgadzam. Faktycznie, jest to przekręt, do którego mogło dojść tylko w Warszawie.

Po przyznaniu Polsce organizacji mistrzostw Europy w piłce nożnej urzędujący wówczas minister sportu Mirosław Drzewiecki błyskawicznie powołał Narodowe Centrum Sportu, które miało odpowiadać za budowę warszawskiego stadionu, oraz spółkę Polska EURO 2012, która miała coś robić, przygotowywać. Co? Do tej pory mało kto wie, czym się zajmowała i czy w ogóle coś robiła. Wspomniane inwestycje zasilili mało znani ludzie, ale za to dobrzy koledzy pana ministra. Powstały niepotrzebne instytucje opłacane przez polskich podatników. I to opłacane sowicie – miesięczne wynagrodzenie panów Rafała Kaplera i Marcina Herry (szefa spółki Polska EURO 2012) przekraczało – i to grubo – indywidualne dochody panów posłów poprzedniego i obecnego Sejmu. Mało tego, wymienieni panowie i ich podwładni zapewnili sobie (w umowach) wysokie premie za swoją (anty)działalność. W tym momencie woda się wylała.

Nastąpiło święte oburzenie. Rozumiem, że to wszystko zbulwersowało przeciętnych Polaków. Wraz z nimi oburzyli się jednak panowie posłowie, którzy w niedzielne przedpołudnia gawędzą sobie w telewizyjnym programie „Kawa na ławę”. Oburzeni byli panowie posłowie Kłopotek, Szejnfeld, Kalisz, Kamiński. Uznali, że wypłacanie takich pensji i premii jest niedopuszczalne. To nienormalne, aby szefowie wspomnianych spółek opłacanych ze Skarbu Państwa zarabiali więcej niż prezydent i premier razem wzięci.

Szczególnie rozbawiło mnie oburzenie pana posła Szejnfelda. Czyżby wcześniej nie wiedział o działalności i zarobkach panów Kaplera i Herry? Przecież są to zatwardziali zwolennicy PO. Przecież to jego koledzy z PO namaścili tych panów i ustalili ich wynagrodzenia. Na pewno nie wymyślił tego samodzielnie były minister Mirosław Drzewiecki, który niewątpliwie konsultował to z partyjnymi towarzyszami, może nawet z samym premierem Donaldem Tuskiem.

Obie instytucje funkcjonują do teraz, chociaż pan Rafał Kapler został już odwołany z funkcji szefa Narodowego Centrum Sportu przez panią minister Joannę Muchę. Został odwołany, ale odprawę i premię chce dostać. Ma do tego pełne prawo, w końcu taką umowę z nim podpisał. Żąda premii za zakończenie budowy warszawskiego stadionu, który nie jest jeszcze ostatecznie wykończony. Dlatego proponuję, aby premię wypłaciły ze swoich prywatnych kont te osoby, które ustalały takie kontrakty. Mam na myśli byłego ministra sportu Mirosława Drzewieckiego oraz konsultantów z PO na czele z premierem Donaldem Tuskiem i panem posłem Szejnfoldem.

W tej chwili nie wiadomo, kiedy w końcu na płytę boiska wejdą futboliści. Miał się tam odbyć mecz o Superpuchar Ekstraklasy między Legią Warszawa i Wisłą Kraków. Nie odbył się – na jego rozegranie nie zgodziła się policja i straż pożarna. 29 lutego planowany jest tu mecz Polska–Portugalia. Czy się odbędzie? Kiedy piszę te słowa, nie wiem, czy na płytę warszawskiego stadionu wybiegną futboliści. Nie wiedzą tego zresztą nawet przedstawiciele PZPN.

Mamy najdroższy stadion na świecie – kosztował 2 miliardy złotych i niemalą kwotę trzeba jeszcze będzie dołożyć do robót wykończeniowych. Może w końcu na jego murawę wybiegną piłkarze. Ale potem stadion trzeba będzie utrzymywać. Za czyje pieniądze? Oczywiście za pieniądze polskich podatników. Dlatego, moim zdaniem, utrzymanie tego stadionu powinno obciążać wyłącznie budżet Warszawy.

HENRYK MARZEC

„Ze Śląska na olimpijskie areny” – pod takim tytułem ukazała się książka, mówiąca o dorobku sportowców województwa śląskiego w olimpijskiej rywalizacji w latach 1924–2010. Autor jest stałym współpracownikiem „Nowego Górnika”.

W leksykonie znalazły się nazwiska sportowców, którzy urodzili się w śląskim regionie i do końca sportowej kariery należeli do śląskich klubów. Są tu także nazwiska sportowców, którzy przybyli na Śląsk i rozwinęli swoje sportowe umiejętności w miejscowych klubach. Ponadto znajdziemy tu nazwiska sportowców, którzy swoją przygodę ze sportem rozpoczęli w klubach śląskiego regionu, ale z czasem przenieśli się do innych części kraju.

Oprócz wyników w olimpijskim współzawodnictwie przedstawione zostały pozostałe osiągnięcia i wyniki w mistrzostwach świata, Europy i Polski oraz w innych ważnych imprezach.

Książkę można nabyć w księgarniach na terenie województwa śląskiego, w siedzibie Wydawnictwa „Śląsk” (Katowice, ul. Ligonja 7) lub w Śląskim Związku Szermierczym (Katowice, ul. Pawła 9).

